

Dla Was biegliśmy pod Monte Cassino

Monika Tomkiewicz

Maj 1944 roku: „Zaczyna szarżyć – jest godzina piąta. Ranek. Pada drobny deszcz. Jedziemy w stronę Monte Cassino. Mijamy drogę główną. Na skrzyżowaniu drogowym: »Do Cassino«, poniżej »No entry«». Kilka kilometrów dalej napis w języku polskim: »Nie wyprzedzaj«. Inny napis znów ostrzega: »Za 100 metrów wąski most«».

► Jan Kozłowski (pierwszy od lewej)

Powyższe słowa to fragment artykułu Edwarda Kocha *Pod Monte Cassino kwitną maki*, opublikowanego w lutym 1945 roku w piśmie Oddziałów Zaopatrywania i Transportu 3. DSK.

Służba Zaopatrywania i Transportu była jednostką nową i zupełnie nieznaną w organizacji polskiego wojska przed rokiem 1939. Pierwsze oddziały tego typu powstały w strukturach II Korpusu Polskiego w Egipcie w marcu 1941 roku i były wzorowane na angielskiej organizacji znanej pod nazwą R.A.S.C. (Royal Army Service Corps). Jedną kompanię utworzyły trzy plutony: Żywnościowy, Benzynowy i Amunicyjny. Służba Transportowa dzieliła losy Brygady Strzelców Karpackich i przeszła z nią cały

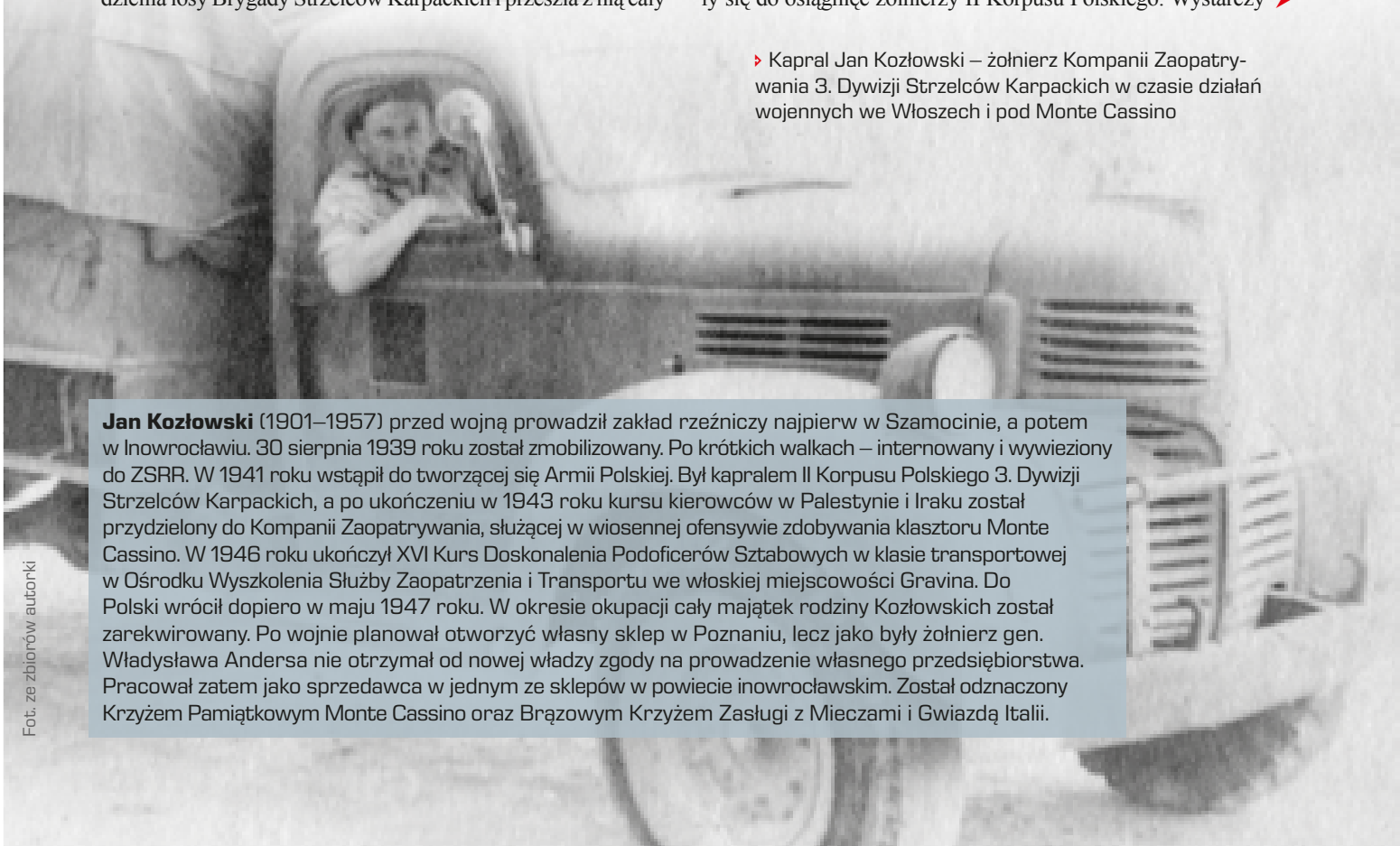
szlak bojowy. W maju 1942 roku w Palestynie w ramach reorganizacji Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich, która została połączona z 9. i 10. Dywizją Piechoty przybyłymi z ZSRR, plutony specjalne Służby Transportowej zostały przekształcone w Kompanię Zaopatrywania. Po tym okresie rozpoczęła się szesnastomiesięczna praca szkoleniowa na terenie Palestyny i Iraku. To dzięki tym ćwiczeniom Polacy odnosili później sukcesy pod Monte Cassino, Anconą, linią Gotów i w Apeninach. Chociaż wysiłki żołnierzy Transportówki nie były tak spektakularne, jak piechurów, kawalerzystów czy czołgistów – gdyż nie mieli oni bezpośredniego wpływu na wynik walki – to jednak przyczyniały się do osiągnięć żołnierzy II Korpusu Polskiego. Wystarczy ►

► Kapral Jan Kozłowski – żołnierz Kompanii Zaopatrywania 3. Dywizji Strzelców Karpackich w czasie działań wojennych we Włoszech i pod Monte Cassino

Jan Kozłowski (1901–1957) przed wojną prowadził zakład rzeźniczy najpierw w Szamocinie, a potem w Inowrocławiu. 30 sierpnia 1939 roku został zmobilizowany. Po krótkich walkach – internowany i wywieziony do ZSRR. W 1941 roku wstąpił do tworzącej się Armii Polskiej. Był kapralem II Korpusu Polskiego 3. Dywizji Strzelców Karpackich, a po ukończeniu w 1943 roku kursu kierowców w Palestynie i Iraku został przydzielony do Kompanii Zaopatrywania, służącej w wiosennej ofensywie zdobywania klasztoru Monte Cassino. W 1946 roku ukończył XVI Kurs Doskonalenia Podoficerów Sztabowych w klasie transportowej w Ośrodku Wyszczolenia Służby Zaopatrzenia i Transportu we włoskiej miejscowości Gravina. Do Polski wrócił dopiero w maju 1947 roku. W okresie okupacji cały majątek rodziny Kozłowskich został zarekwirowany. Po wojnie planował otworzyć własny sklep w Poznaniu, lecz jako były żołnierz gen. Władysława Andersa nie otrzymał od nowej władzy zgody na prowadzenie własnego przedsiębiorstwa. Pracował zatem jako sprzedawca w jednym ze sklepów w powiecie inowrocławskim. Został odznaczony Krzyżem Pamiątkowym Monte Cassino oraz Brązowym Krzyżem Zasługi z Mieczami i Gwiazdą Italii.



Fot. ze zbiorów autorki



prześledzić kilka relacji, aby uświadomić sobie, jak bardzo niebezpiecznym zadaniem było zaopatrywanie oddziałów na froncie w amunicję.

Strategia przewoźników

W 3. Dywizji Strzelców Karpackich 2. Kompanii Zaopatrywania Artylerii II Korpusu Polskiego służył mój dziadek, kapral Jan Kozłowski. Od dzieciństwa towarzyszyły mi opowieści babci i mamy o jego bohaterstwie na polu walk. Dziadek przeszedł cały szlak bojowy kompanii: od Cesarstwa Iranu, przez Królestwo Iraku, Syrię, Palestynę, Królestwo Egiptu aż do Włoch i walk o klasztor benedyktyński na Monte Cassino. Często próbowałam sobie wyobrazić sznur ciężarówek pełnych amunicji sunących w szeregu w całkowitej ciemności włoską drogą nr 6, wijącą się wśród gór i gajów oliwnych, a czasami biegnącą brzegiem przepaści. Kierowcy musieli pokonać fragmenty trasy, narażając się bezpośrednio na ogień artylerii. W wielu miejscach, na rozwidleniach dróg, skrzyżowaniach i trudniejszych przejazdach paliły się krzewy lub trawa, idealnie oświetlając cele nieprzyjacieli. Prowadzenie auta w takich warunkach wymagało niezwykłej przytomności umysłu i szybkiej orientacji, aby nie spowodować katastrofy. Na tych odcinkach, na których droga wzdłuż przepaści po obu stronach najpierw ostro wspięła się w górę, a potem gwałtownie opadała w dół, żołnierze musieli liczyć na pomoc swych kolegów. W takiej sytuacji jeden z żołnierzy wysiadał z auta i rozpościarał przed sobą białe płótno – bardzo dobrze widoczne w ciemności dla kierowcy. Ten kawałek materiału rozpostarty na szerokość ramion był najlepszym i najbezpieczniejszym w tych warunkach pilotem. Każdy kierowca miał przydzielonego żołnierza sekcyjnego, którego zadaniem było bezpieczne przeprowadzenie pojazdu w najtrudniejszych warunkach. Przecież niejedną drogą była zablokowana przez uszkodzone auto bądź wraki wiszące nad przepaścią. Oczekiwanie na przybycie dźwigu ratowniczego mogło trwać kilka godzin, a ładunek przecież trzeba było

szybko dowieźć. Niesamowitej precyzji wymagało wówczas prześlizgnięcie się po drodze. W czasie takiej nocnej trasy żołnierzom towarzyszył ciągle pośpiech, bo przecież na rano musieli być w bezpiecznym, osłoniętym miejscu, niewidocznym dla nieprzyjaciela. Musieli też zdążyć z ładunkiem, nim artyleria zajmie stanowiska ogniowe. Niejednokrotnie też zdarzało się, że kolumna transportowa była przerywana. Pozostające z tyłu auto musiało dogonić oddział. Tylko jak to zrobić, skoro brakowało tablic orientacyjnych, a drogi często się rozwidlały? Nie na wszystkich też punktach znajdowały się stanowiska polskich regulatorów ruchu zwanych „RR”. Wówczas kierowca i sekcyjny naradzali się, którą drogę wybrać. Ile samochodów nie dotarło do bazy? Nikt chyba dziś tego nie wie.

Jadące bardzo wolno – zaledwie 8 km/h – w kolumnach samochody wypełnione zaopatrzeniem bądź amunicją bardzo często przypominały pochód pielgrzymkowy. W wielu kabinach żołnierze mieli przyłączone krzyżyki lub święte obrazki. Mój dziadek w kieszeni munduru miał zawsze przy sobie złoty medalik, kupiony dla swojej ukochanej żony jeszcze w Jerozolimie. Medalik ten otrzymała później moja mama, która przekazała mi go na osiemnaste urodziny. Noszę go każdego dnia od dwudziestu lat.

Siedemdziesiąt lat później

17 maja 2014 roku, 16.30: zaczyna padać lekki deszczyk. Wszyscy zawodnicy rozpoczęli już rozgrzewkę, rozciąganie, trucht. Na linii startu ustawili się zawodnicy niepełnosprawni z Włoch. Pokonują dystans 200 m przy głośnych owacjach biegaczy. O 16.40 słyszymy pierwsze grzmoty, nadciąga burza. Zaczyna się prawdziwa ulewa. Wszyscy zastanawiają się, czy nie zostanie zmieniona bądź skrócona trasa biegu, co w regulaminie zastrzegł sobie organizator. Padają jednak pierwsze komunikaty sędziowskie, najpierw po włosku, potem po polsku: „Zapraszamy na start!”. Chwila ciszy, wszyscy zamarli. Nagle, jakby na komendę, ru-

► Reprezentacja IPN po biegu na Monte Cassino



szamy z naszych kryjówek pod dachami na linię startu. Pada już bardzo mocno, temperatura spadła do zaledwie 12 stopni. A jeszcze godzinę wcześniej był upał. Umundurowana orkiestra z Cassino zaczyna grać Mazurka Dąbrowskiego, wszyscy Polacy głośno śpiewają. Za chwilę hymn włoski i znowu Mazurek. Na starcie zawodnicy w różnych kolorach koszulek klubowych. Wśród nich, jak maki na łące, czerwone koszulki zawodników z Polski. Wszyscy mamy numery startowe z nazwiskami naszych bohaterów. Pod numerem 284 „biegnie” ze mną strzelec Stanisław Jankowiak z 14. batalionu strzelców, poległy 12 maja 1944 roku na zboczach Cassino. Wśród biegaczy stoi dwudziestojednoosobowa reprezentacja ze wszystkich oddziałów Instytutu Pamięci Narodowej.

Nerwowe oczekiwanie na start. 16.58: nareszcie słyszymy sygnał startowy. Po przekroczeniu linii startu do naszych uszu dobiegają charakterystyczne sygnały chipów umieszczonych w numerach startowych. Przed nami 2 km przez miasteczko – to czas na rozbieg. Mamy przecież do pokonania 8 km w górę do stóp klasztoru. Całuję mój medalik i jestem już gotowa do biegu. Na trzecim kilometrze wyprzedza mnie ośmioosobowa, ustawiona dwójkami grupa polskich żołnierzy w pełnym umundurowaniu. Pierwszy niesie ze sobą flagę narodową zatknietą na wysokim drzewcu. Słyszę tylko równomierny odgłos butów wojskowych, a gdy po chwili podnoszę głowę do góry, widzę, że flaga ta znajduje się już na zboczu góry zdecydowanie wyżej. Nareszcie złapałam swoje tempo, teraz biegnę już równomiernie. Co jakiś czas słyszę doping włoskich biegaczy: „Polacco!”. Trasa po zboczu góry Cassino jest bardzo wymagająca. Lewą stroną co chwilę przejeżdżają karetki i samochody wiozące ważne osobistości na szczyt. To kolejne utrudnienie w naszym i tak niełatwym zmaganiu z górą. W okolicach szóstego kilometra doganiam mężczyznę z Polski. Nie mam przy sobie zegarka, gdyż aplikacja Endomondo w telefonie, której zawsze używam w czasie biegów, jest zupełnie nieprzydatna przy niedziałającym sygnale GPS. Pytam o czas, chcę wiedzieć, w jakim tempie biegnę. Zaczynamy rozmawiać. Przyjechał z Lublina motocyklem specjalnie na ten bieg. Do mety biegniemy już razem, wzajemnie wspierając się w trudach i dopingując do walki. Pół kilometra przed metą czujnie wszystkim przygląda się lekarz. To przecież mordercza trasa, wymagająca dobrej kondycji fizycznej. Mówi do nas po włosku i pokazuje na palcach, że jeszcze tylko 500 m do mety. Mija nas jeszcze dwóch chłopaków w takich samych koszulkach z napisami po polsku, angielsku i włosku „Biegnę za dziadka”.

Nareszcie upragniony niebieski napis „Finish”. Ogromna euforia, zdobyliśmy razem górę. Dziękujemy sobie wzajemnie za wsparcie w biegu. Na zegarze widzę swój czas: 1 godzina 8 minut 41 sekund. Zerkam na klasztor, łaza kręci się w oku... Strzelcu Stanisławie Jankowiaku, kapralu Janie Kozłowski! Dla Was biegłam pod Monte Cassino. 🍷